

JOSEPH
HELLER

Ostatni rozdział,
czyli
paragraf 22 bis



1.

Sammy

Kiedy ludzie w naszym wieku mówią o wojnie, nie mają na myśli wojny w Wietnamie, ale tę, która wybuchła przeszło pół wieku temu i objęła prawie cały świat. Toczyła się już dwa lata, gdy do niej przystąpiliśmy. Zanim wylądowaliśmy w Normandii, zginęło, jak powiadają, przeszło dwadzieścia milionów Rosjan. Zanim jeszcze postawiliśmy stopę na kontynencie, nastąpiło odwrócenie biegu wydarzeń pod Stalingradem i została wygrana bitwa o Anglię. A mimo to straty Amerykanów sięgnęły miliona, z czego trzysta tysięcy poległo w boju. Dwa tysiące trzystu zginęło w Pearl Harbor w ciągu jednego niesławnego dnia przed ponad półwieczem, a więcej niż dwa i pół tysiąca odniosło wtedy rany — tego jednego dnia ponieśliśmy większe straty niż w trakcie całych długich i krwawych zmagających na Pacyfiku, większe niż podczas D-Day we Francji.

Nic dziwnego, że w końcu przystąpiliśmy do wojny.

Bogu niech będą dzięki za bombę atomową, cieszyłem się wraz z całą resztą cywilizowanego świata niemal pół wieku temu, kiedy przeczytałem nagłówki w gazetach i dowiedziałem się, że została zrzucona. W tym czasie siedziałem już z powrotem w domu, cały i zdrowy, i jako były żołnierz znajdowałem się w o wiele lepszej sytuacji niż przedtem. Mogłem pójść na studia. Zrobiłem to i przez dwa lata uczyłem nawet w college'u w Pensylwanii, a potem wróciłem do Nowego Jorku i zacząłem pracować w dziale reklamy

magazynu „Time”.

Jeszcze przez jakieś dwadzieścia lat, na pewno nie dłużej, gazety w całym kraju będą drukować fotografie najstarszych żyjących weteranów tamtej wojny, biorących udział w coraz rzadszych paradach, organizowanych w patriotyczne święta. Te parady są już dzisiaj dość rzadkie. Nigdy w nich nie maszerowałem. Nie sądzę również, by robił to mój ojciec. Dawno, dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, szalony Henry Kantowitz, rówieśnik mojego ojca i dozorca domu po drugiej stronie ulicy, zakładał w Dzień Zawieszenia Broni i Dzień Pamięci swoje postrzępione onuce i staroświecki wojskowy mundur z pierwszej wojny światowej, tej wcześniejszej Wielkiej Wojny, i przez cały dzień paradował tam i z powrotem po chodniku Railroad Avenue, od linii trolejbusowej Norton's Point do sklepu z łakociami i saturatora na rogu Surf Avenue, bliżej oceanu. Stary Henry Kantowitz podobnie jak mój ojciec mógł mieć wtedy niewiele ponad czterdziestkę. Popisując się, wykrzykiwał chrapliwym głosem komendy w stronę znużonych kobiet, które wlokły się na spuchniętych nogach do swych małych mieszkań, taszcząc brązowe torby ze spożywczego albo od rzeźnika i wcale nie zwracając na niego uwagi. Ignorowały go także jego dwie zawstydzone córki, małe dziewczynki, jedna młodsza ode mnie, druga o rok albo dwa starsza. Niektórzy mówili, że Kantowitz odniósł kontuzję podczas wybuchu pocisku, ale nie sądzę, żeby to była prawda. Nie sądzę nawet, żebyśmy wiedzieli, co to znaczy.

W naszych trzy- lub czteropiętrowych kamienicach nie było wówczas wind i dla starszych osób wspinaczka po schodach mogła stać się prawdziwą udręką. W piwnicach przechowywano węgiel, dowożony ciężarówkami i zrzucany z hałasem w dół po metalowej pochylni; można tam też było znaleźć kocioł centralnego ogrzewania, a także dozorcę, który czasami mieszkał, a czasami nie mieszkał w tym samym budynku i o którym bardziej z onieśmienia niż grzeczności mówiliśmy zawsze z szacunkiem pan taki to a taki, pilnował bowiem domu i reprezentował właściciela, którego prawie wszyscy wtedy, a i dziś niektórzy, przynajmniej trochę się

baliliśmy. Milę dalej znajdowały się słynne tereny rozrywkowe Coney Island z setkami tysięcy kolorowych żarówek, karuzelami, kolejkami i straganami z jedzeniem. Wielką atrakcją stanowił wtedy Luna Park, a także Steeplechase * Park pana George'a C. Tilyou, który zmarł dużo wcześniej i o którym nikt nie wiedział zbyt wiele. Nad każdym wejściem do Steeplechase Park pyszniła się przedstawiona w komiksowej formie jaskrawa, groteskowa podobizna różowej, płaskiej i roześmianej twarzy wymalowanego w prymitywny sposób subtelnego idioty, skręcającego się z szatańskiego śmiechu, z rozdziawioną czasem na szerokość całej przecznicy gębą, w której tkwiła niesamowita liczba olbrzymich zębów. Pracownicy Steeplechase Park nosili czerwone kurtki i dżokejskie czapki i od wielu czuć było whisky. Tilyou mieszkał kiedyś przy Surf Avenue we własnym dużym drewnianym domu z werandą, na którą prowadziły kamienne schodki sięgające niemal skraju chodnika i zapadające się jakby lekko w głąb. Kiedy jako trochę starszy chłopak miałem ten dom w drodze do publicznej biblioteki, stacji metra albo idąc na popołudniowy sobotni seans filmowy, wyryte w betonie na pionowej ścianie najniższego schodka nazwisko Tilyou zniknęło już zagłębione do połowy w ziemi. W mojej dzielnicy instalacja pieców na ropę, której towarzyszyło kopanie rowów na rury i zbiorniki, była bezsprzecznie dużym wydarzeniem, oznaką postępu.

Za jakieś dwadzieścia lat wszyscy będziemy fatalnie wyglądać na zdjęciach w gazetach i w telewizyjnych migawkach: dziwaczni ludzie z innego świata, sędziwi, trzęsący się, łysawi i pokurczeni, sprawiający być może wrażenie lekko zidiociałych, z bezzębnymi uśmiechami na zapadłych, pomarszczonych twarzach. Ludzie, których znam, umierają, a wielu innych, których znałem, już umarło. Nawet dziś nie wyglądamy zbyt pięknie. Nosimy okulary, pogarsza nam się słuch, czasami za dużo mówimy, powtarzamy się, wyrastają nam różne świństwa i nawet najmniejsze zadrapania

* Steeplechase — bieg terenowy, wyścig koński z przeszkodami.

goją się o wiele dłużej i zostawiają wyraźne ślady.

A potem już nas nie będzie.

Zostaną tylko przekazy, pamiątki i przywoływane przez nie obrazy. Któregoś dnia jedno z moich dzieci — adoptowałem je legalnie, oczywiście za ich zgodą — albo jeden z dorosłych wnuków natrafi na moje skrzydełka strzelca pokładowego lub medal lotniczy, na naramienne naszywki sierżanta lub moje młodzieńcze zdjęcie — małego Sammy’ego Singera, najlepszego w ortografii na całej Coney Island i zawsze jednego z najlepszych w klasie z arytmetyki, podstaw algebry i geometrii — w zimowej kurtce lotniczej z kożuszką i w spadochronowej uprząży, wywiezionego pół wieku temu na wyspę Pianosę przy zachodnim wybrzeżu Włoch. Siedzimy we wczesnym porannym słońcu obok samolotu, na stercie nie uzbrojonych tysiącfuntowych bomb, uśmiechając się do obiektywu i czekając na sygnał startu do kolejnej misji, razem ze spoglądającym na nas z tyłu, wyznaczonym na ten dzień bombardierem w randze, jak pamiętam, kapitana. Był to kłótniwy i impulsywny, wzbudzający czasem lęk Ormianin o nazwisku Yossarian, który nie zdołał nauczyć się nawigacji na przyspieszonym kursie zorganizowanym niespodziewanie podczas szkolenia operacyjnego w bazie powietrznej w Columbii, w Karolinie Południowej, gdzie stworzono z naszej grupy tymczasową załogę, która ćwiczyła wspólnie przed udaniem się na front i przeprowadziła samolot w rejon działań wojennych. Pilotem był trzeźwy Teksańczyk o nazwisku Appleby, bardzo metodyczny i bardzo dobry, niech go Bóg błogosławi, i ci dwaj bardzo szybko zaczęli drzeć ze sobą koty. Ja sympatyzowałem z Yossarianem. Wesoły, szybki i trochę dziki, był podobnie jak ja chłopakiem z wielkiego miasta, który prędzej umarłby, niż dał się zabić, jak stwierdził pół żartem, pół serio któregoś razu blisko końca, i który zamierzał żyć wiecznie albo przynajmniej umrzeć, próbując tego dokonać. Podzielałem jego stanowisko. Od niego nauczyłem się mówić „nie”. Kiedy w zamian za dziesięć lotów więcej zaproponowali mi kolejną belkę i kolejną wstążkę do medalu, odmówiłem i wysłali mnie do domu. Nie wtrącałem się do nieporozumień Yossariana z Applebym, ponieważ byłem

nieśmiałym i niskim Żydem, a w dodatku prostym żołnierzem. Spotykając w tamtym czasie nowych ludzi, zawsze uważnie sondowałem grunt, zanim powiedziałem, co myślę, ale choć nie potwierdzał tego mój brak pewności siebie, w głębi duszy nie uważałem się wcale za kogoś gorszego od nich, również od oficerów, nawet od tego wielkiego wyszczerzanego Ormianina, który twierdził w żartach, że tak naprawdę jest Asyryjczykiem, przedstawicielem wymarłej rasy. Byłem od nich wszystkich bardziej czytany, widziałem to, lepszy w ortografii i zupełnie niegłupi, choć nigdy tego po sobie nie pokazywałem.

Yossarian gubił się nieuchronnie podczas każdego z tych treningowych nocnych lotów, które odbywaliśmy nad Karoliną Południową i Georgią. Stało się to już przedmiotem żartów. Od innych niższych rangą żołnierzy, których spotykałem w koszarach i w stołówce, dowiedziałem się, że wszyscy ich przerobieni naprędce z bombardierów nawigatorzy również gubią się podczas nocnych misji treningowych i też jest to przedmiotem żartów. Trzecim oficerem w naszej załodze był nieśmiały drugi pilot o nazwisku Kraft, który po awansowaniu na pierwszego pilota zginął zestrzelony przez artylerię przeciwlotniczą w czasie misji nad Ferrarę w północnych Włoszech, kiedy jego samolot podszedł po raz drugi nad tamtejszy most. Yossarian, prowadzący bombardier, któremu nie udało się rzucić bomb za pierwszym razem, dostał medal za to, że zawrócił, gdy zobaczył, że inni również chybili i most wciąż stoi. Podczas tych ćwiczeń z nawigacji w Karolinie Południowej Appleby zawsze odnajdywał drogę powrotną, używając radiokompasu. Którejś ciemnej nocy zgubiliśmy się i przez ponad godzinę nie mieliśmy odczytu z radiokompasu, bo burza spowodowała zakłócenia elektryczne. Po dziś dzień słyszę dźwięczący w telefonie pokładowym głos Yossariana:

— Widzę tam na dole brzeg rzeki. Skręć w lewo i przeleć nad nią, a ja postaram się znaleźć jakiś punkt orientacyjny po drugiej stronie.

Brzeg rzeki okazał się wybrzeżem Atlantyku, a my znaleźliśmy się w drodze do Afryki. Po kolejnej półgodzinie

Appleby stracił cierpliwość i przejął inicjatywę. Kiedy złapał w końcu sygnały radiowe, które pozwoliły mu odnaleźć lotnisko, paliwa starczyło nam tylko na dokołowanie z pasa startowego na stanowisko. Silniki zgasły, zanim je wyłączyliśmy.

O mały włos wszyscy wtedy nie zginęliśmy.

Tak naprawdę dotarło to do mnie dopiero wiele lat później i opowiadając tę historię, przestałem pękać ze śmiechu.

Na fotografii siedzi obok mnie mój kumpel Bill Knight, w tamtych czasach górny strzelec pokładowy, dwa lata ode mnie starszy i już żonaty, ojciec dziecka, które oglądał zaledwie przez tydzień; a także chudy chłopak w moim wieku, niejaki Howard Snowden z Alabamy, radiostrelec, który zginął podczas misji nad Awinionem mniej więcej miesiąc później — i który umierał powoli, jęcząc z bólu i skarżąc się, że mu zimno. Mamy tutaj po dwadzieścia lat i wyglądamy jak dzieciaki, które mają tylko po dwadzieścia lat. Howie Snowden był pierwszym trupem, jakiego zobaczyłem, i jedynym trupem, jakiego w ogóle oglądałem poza kostnicą. Kiedy moja żona zmarła w nocy i przyjechałem do szpitala, żeby załatwić formalności i zacząć przygotowania do pogrzebu, nie było jej już na sali. Odeszła tak, jak to zapowiedział onkolog, prawie co do dnia. Była bardzo chora, ale podobno nie cierpiała wiele. Chcieliśmy wierzyć, że ból został jej oszczędzony, ponieważ zawsze była bardzo dobrą kobietą, przynajmniej dla mnie i dla dzieci, na ogół wesołą i wielkoduszną. Wściekała się tylko na pierwszego męża, i to też tylko czasami, zwłaszcza kiedy brakowało mu pieniędzy na własne dzieci, choć zawsze miał ich dosyć na nowe dziewczyny i kilka kolejnych małżeństw. Miałem szczęście do umarłaków, stwierdził po wojnie Lew, mój przyjaciel jeszcze z czasów dzieciństwa, który został wzięty do niewoli jako żołnierz piechoty i zanim odesłano go z powrotem do domu, widział w Europie setki trupów amerykańskich i niemieckich i masę trupów niemieckich cywilów w Dreźnie. Pomagał wtedy uprzątać teren po brytyjskich bombardowaniach, o których dowiedziałem się po raz pierwszy od niego, po nalocie, w którym zginęli prawie wszyscy mieszkańcy miasta

z wyjątkiem jeńców wojennych i ich strażników. Nie bardzo chciałem w to z początku uwierzyć.

— Ponad sto tysięcy? Chyba oszalałeś, Lew. To więcej ofiar niż pochłonęła bomba atomowa w Hiroszimie.

Potem jednak sprawdziłem to i musiałem przyznać mu rację.

Ale to było prawie pięćdziesiąt lat temu. Nic dziwnego, że nasi potomkowie nie interesują się zbyt drugą wojną światową. Mało który z nich wtedy żył. Gdyby urodził się podczas wojny, miałby teraz koło pięćdziesiątki.

Może jednak pewnego dnia w przyszłości, której nie potrafię bliżej określić, jedno z naszych dzieci albo wnuków natrafi w szufladzie na pudełko z moimi skrzydełkami strzelca, medalem lotniczym, naszywkami sierżanta i wojenną fotografią i staną mu przed oczyma jak żywe pewne rodzinne wydarzenia, które miały miejsce albo które nigdy nie miały miejsca, a powinny. Tak, jak stają przed oczyma mnie, kiedy patrzę na maskę przeciwgazową mojego ojca z pierwszej wojny światowej.

Ciekawe, co się z nią stało. Kiedy byłem mały, uwielbiałem się nią bawić i robiłem to w tajemnicy, gdy pracował w mieście, tnąc z wykrojów materiał na dziecinne stroje. Mam również jego fotografię jako żołnierza. Gdy przeczytałem, jeszcze w podstawówce, biografię niemieckiego asa przestworzy z lat pierwszej wojny, barona Manfreda von Richtofena, przez dłuższy czas chciałem zostać pilotem myśliwca. Chciałem dzień w dzień toczyć z baronem powietrzne pojedynki nad okopami we Francji i za każdym razem go strącać. Był moim idolem i marzyłem o tym, żeby go zestrzelić. Wkrótce po wojnie, po mojej wojnie, ojciec umarł i powiedzieli, że to rak. Lubił palić cygara. Kupował je w małym sklepiku w sąsiedztwie, na rogu Surf Avenue, gdzie zadowolony z siebie pan Levinson siedział z uśmiechem na ustach przy swoim roboczym stole, z nożami i liśćmi tytoniu, zwijając i oznaczając ręcznie swoje cygara, podczas gdy pani Levinson, spokojna, podobna do Pigmejki piegowata kobieta z ciemnymi włosami, sprzedawała czepki kąpielowe, zatyczki do uszu, koła ratunkowe, wiaderka, łopatki i inne drobiazgi, które mogły się przydać na oddalonej zaledwie o przecznice

plaży. Nie mieli dzieci.

Wszyscy wtedy pracowali. Jako dzieciak sprzedawałem przez jakiś czas gazety na ulicach i w barach na deptaku. W lecie moje siostry sprzedawały tam mrożony krem i piwo z korzeniami, a Davey Goldsmith handlował hot dogami. Na plaży, w wydobywających się z nieporęcznych pudeł oparach suchego lodu, toczyli spartański bój niekoncesjonowani przekupnie, starający się opchnąć za dziesięć centów wszystkie mrożone batony i napoje, zanim zdążą ich przyskrzynieć policjanci, brnący po miękkim piachu między odzianymi w kostiumy kąpielowe gapiami, którzy z całego serca dopingowali uciekinierów. Wielu spośród tych szybko nogich, uprawiających niebezpieczny proceder chłopaków należało do moich znajomych.

W naszym mieszkaniu słyszeliśmy zawsze łoskot łamiących się fal i gong boi dzwoniącej (nazywaliśmy ją *bellboy*, i nadal wydaje mi się to właściwym określeniem). W chwilach rzadkiej ciszy, wczesnym albo późnym popołudniem, docierała do nas nawet niewyraźna melodia wygrywana przez egzotyczną katarynkę zamontowaną przy najbliższej karuzeli przy deptaku, olbrzymiej obracającej się platformie z rumakami pomalowanymi na złoty kolor karmelków, z pasami błyszczącej czerni i barwnymi smugami różu i błękitu, które przypominały nam inne słodczyce: galaretki, cukierki lukrecjowe i gumowe dropsy. Skąd pochodziły te wspaniałe lśniące konie? Czy była gdzieś jakaś fabryka produkująca konie do karuzeli? Czy można było na tym zarobić forszę — nie dalej jak pół mili od naszych domów? Nikt z nas nie był bogaty.

2.

Mały kutas

Nowy prezydent obejmował urząd zgodnie z procedurą, po rezygnacji swego poprzednika, doprowadzonego do stanu skrajnego wyczerpania umysłowego przez konieczność stałego wyjaśniania, dlaczego wybrał w ogóle taką osobę na wiceprezydenta i partnera w wyścigu do prezydenckiego fotela.

— Dlaczego go wybrałeś? — pytał, nie mogąc się oprzeć, jego najbliższy przyjaciel, sekretarz stanu. — Powiedz przynajmniej mnie. Obiecuję dotrzymać tajemnicy!

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy — odpowiadał, broniąc się, dotychczasowy szef państwa. — Żadnego ukrytego motywu, żadnego podstępu. Zrobiłem po prostu to, co uważałem za najrozsądniejsze. Daję ci słowo, nie miałem żadnych przestępczych zamiarów.

— I to właśnie jest najbardziej przerażające.

3.

Pan Yossarian

W połowie drugiego tygodnia pobytu w szpitalu Yossarianowi przyśniła się matka i ponownie uświadomił sobie, że umrze. Lekarze byli zmartwieni, kiedy przekazał im tę wiadomość.

— Nie możemy niczego znaleźć — powiedzieli mu.

— Szukajcie dalej — polecił.

— Cieszy się pan doskonałym zdrowiem.

— Tylko poczekajcie — odparł.

Yossarian był na obserwacji w szpitalu, dokąd udał się ponownie w związku z wystąpieniem neurotycznego zespołu mylących somatycznych objawów, które spotęgowały się, odkąd po raz drugi w życiu zamieszkał samotnie, i które wydawały się ulatniać jak mgła, kiedy je tylko opisał albo został w związku z nimi przebadany. Zaledwie przed kilku miesiącami wyleczył się z nieuleczalnego przypadku ischiasu, telefonując po prostu do jednego z lekarzy, aby poskarżyć się na nieuleczalny przypadek ischiasu. Nie potrafił się nauczyć żyć sam. Nie potrafił posłać łóżka. Prędzej umarłby z głodu, niż coś ugotował.

Tym razem wrócił tu, można rzec, piorunem, dręczony niezdrową wizją innej niezdrowej wizji, która zaczęła go nękać krótko po usłyszeniu, że prezydent, którego nie lubił, ma zamiar odejść, i że na pewno zastąpi go wiceprezydent, którego nie lubił jeszcze bardziej; i krótko po otrzymaniu informacji, że handlujący do tej pory przeterminowanymi

nadwyżkami w rodzaju starej czekolady lub całorocznego zbioru egipskiej bawełny Milo Minderbinder, z którym związany był nierozzerwalnie i nieuchronnie od około dwudziestu pięciu lat, rozszerza swoją działalność na sprzęt wojskowy i ma zamiar przedstawić rządowi, to znaczy oczywiście każdemu rządowi, który na to stać, projekt własnego samolotu bojowego.

W Europie istniało kilka krajów, które było na to stać, podobnie zresztą jak w Azji i na Bliskim Wschodzie.

Wizja niezdrowej wizji, jakiej doświadczył, przypominała wylew lub atak i sprawiła, że po raz kolejny pomyślał o wiecznie starym Gustawie Aschenbachu siedzącym samotnie na mitycznej śródziemnomorskiej plaży, a także o jego nieśmiertelnej śmierci w Wenecji, poniesionej w wieku pięćdziesięciu lat w mieście dotkniętym zarazą, o której nikt nie chciał mówić na głos. Dawno temu w Neapolu, stojąc w kolejce na statek, który miał zabrać go do domu, kiedy już wykonał siedemdziesiąt akcji bojowych i uszedł z życiem, spotkał starego wojaka o nazwisku Szwejk oraz faceta, który urodził się jako Krautheimer i zmienił nazwisko na Joseph Kaye, aby dopasować się lepiej do amerykańskiej kultury. Ale wtedy jego nazwisko, podobnie zresztą jak Szwejka, niewiele Yossarianowi mówiło.

Mając możliwość wyboru, nadal wolał żyć. Nie jadł jajek i chociaż nie bolała go głowa, co drugi dzień łykał małą aspirynę.

Nie miał wątpliwości, że ma się czym martwić. Jego rodzice nie żyli już, podobnie jak wszyscy wujowie i ciotki.

Kutas w Białym Domu? I to nie po raz pierwszy. Rozbił się kolejny tankowiec. Dawało o sobie znać promieniowanie. Były śmieci, pestycydy, zanieczyszczenia toksyczne i wolna inicjatywa. Przeciwnicy aborcji chcieli wprowadzić karę śmierci dla wszystkich, którzy występowali przeciwko życiu. W rządzie pełno było miernot, nie mówiąc o prywacie. Doszło do problemów w Izraelu. To nie były urojenia. Wcale sobie tego wszystkiego nie wymyślił. Wkrótce można będzie klonować ludzkie embriony — na sprzedaż, dla rozrywki i jako części zamienne. Ludzie zarabiali miliony, nie

wytwarzając niczego konkretnego z wyjątkiem zmiany tytułu własności. Skończyła się zimna wojna, ale na ziemi nadal nie zapanował pokój. Wszystko pozbawione było sensu i czegokolwiek innego. Ludzie robili różne rzeczy, nie wiedząc, po co je robią, i dopiero potem starali się tego dowiedzieć.

Nudząc się w szpitalu, Yossarian zabawiał się tego rodzaju wzniosłymi refleksjami, w podobny sposób, jak skłonny do marzeń na jawie młodzieniec bawi się genitaliami.

Przynajmniej raz dziennie w każdy roboczy ranek wpadał doń jego doktor, Leon Shumacher, wraz ze swą poważną swiłą młodych dziarskich obiecujących lekarzy i żywą, atrakcyjną siostrą z ładną twarzą i wspaniałym tyłkiem, która nie zważając na podeszły wiek Yossariana, otwarcie się w nim durzyła i którą on, nie zważając na jej młodość, chytrze zachęcał do nawiązania niezobowiązującego romansu. Była wysoka, obdarzoną imponującymi biodrami kobietą, przypominającą Pearl Bailey, ale nie Pearl Harbor, co oznaczało, że może mieć od trzydziestu pięciu do sześćdziesięciu lat. Był to zdaniem Yossariana najlepszy wiek dla kobiety, pod warunkiem oczywiście, że wciąż cieszy się dobrym zdrowiem. Yossarian miał bardzo mgliste pojęcie, jaka jest naprawdę; ale bez żadnych skrupułów wykorzystywał każdą szansę, żeby umilić sobie tych kilka spokojnych tygodni, które postanowił spędzić w szpitalu, aby odpocząć i wyrobić sobie pogląd na rzeczywistość, podczas gdy wielkie narody ustabilizują się i po raz kolejny utworzą nowy światowy ład, który zapanuje raz na zawsze.

Zabrał ze sobą radio i prawie zawsze mógł złapać na tej czy innej fali jakiś utwór Bacha albo bardzo dobrą muzykę kameralną, chóralną bądź na fortepian. Zbyt często jednak przerywano ją, żeby poświęcić nieco uwagi operze, zwłaszcza Wagnerowi. Tym razem, co Yossarian miał okazję z przyjemnością stwierdzić, leżał na całkiem dobrej sali, mając za sąsiadów niekłopotliwych, nie chorujących w przykry sposób pacjentów, no i była jeszcze ta atrakcyjna pielęgniarka, która w odpowiedzi na jego umizgi śmiała się skromnie, czerwieniła, obruszała i zadzierała nosa, dając chępliwie do zrozumienia, że doskonale wie, iż ma naprawdę bajeczny tyłek.

Yossarian nie widział powodu, żeby temu zaprzeczać.

W połowie pierwszego tygodnia flirtował już z nią na całego. Doktor Leon Shumacher nie zawsze spoglądał przychylnym wzrokiem na te frywolne igraszki.

— Popeliłem wystarczający błąd, w ogóle cię przyjmując. Powinniśmy chyba obaj się wstydzić tego, że leżysz na tej sali, wcale nie chory...

— Kto powiedział, że nie jestem chory?

— ...podczas gdy tylu ludzi dogorywa na ulicach.

— Czy przyjmiesz jednego z nich, jeśli zgodzę się odejść?

— Zapłacisz za niego rachunek?

Yossarian wołał nie płacić.

Wielki człowiek od angiografii stwierdził rzeczowo, że nie musi jej przeprowadzać, a neurolog poinformował Yossariana z równie ponurą miną, że z jego mózgiem jest wszystko w porządku. Leon Shumacher ponownie przedstawił go z dumą swoim uczniom jako rzadki okaz, na jaki nieczęsto będą mieli okazję trafić w swojej praktyce: liczący sześćdziesiąt osiem lat mężczyzna nie zdradzający symptomów żadnej choroby, nawet hipochondrii.

Późnym popołudniem, a czasami nawet wczesnym wieczorem Leon wpadał, żeby w nietaktownie egocentryczny sposób uciąć sobie pogawędkę z facetem, o którym obaj wiedzieli, że niedługo umrze, i któremu skarżył się śpiewnym głosem na długie godziny pracy i upiorne warunki oraz niesprawiedliwie niskie zarobki.

Nie był zbyt delikatny.

Pielęgniarka nazywała się Melissa MacIntosh; podobnie jak wszystkie piękne kobiety w oczach wyrafinowanego mężczyzny z predylekcją do romantyzowania, wydawała się Yossarianowi zbyt piękna, żeby była prawdziwa.

Z początkiem drugiego tygodnia zaczęła zostawać na dłużej i stojąc albo siedząc przy jego łóżku, pozwalała mu pieścić opuszkami palców obszyty koronką skraj majtek, rozmawiając, kokietując go i godząc się na dalsze awanse. Różowa ze wstydu i podniecona psotą nigdy wyraźnie nie pozwalała ani nie protestowała, kiedy bawił się rąbkiem jej przezroczystej bielizny, ale najwyraźniej nie była na luzie. Bała się, że ktoś

zaskoczy ich w momencie tej niedozwolonej intymności. On zaś ukrywał przed siostrą MacIntosh wszelkie subtelne oznaki erekcji. Nie chciał, żeby pomyślała, iż ma poważne intencje. Zgodziła się z nim, że miała szczęście, dostając go pod opiekę. Sprawiał mniej kłopotów od innych pacjentów w prywatnych i półprywatnych salach na tym samym piętrze. Bardziej ją intrygował — widział to — i w związku z tym, co rozumiał, a czego ona chyba nie rozumiała, był dla niej bardziej atrakcyjny od wszystkich niezbyt licznych mężczyzn, z którymi widywała się poza szpitalem, a nawet od tego jednego albo dwóch, z którymi widywała się na prawach wyłączności lub prawie zupełnej wyłączności przez ileś tam lat. Nigdy nie wyszła za mąż, nawet raz albo dwa. Yossarian sprawiał tak mało kłopotów, że właściwie nie sprawiał ich wcale; Melissa oraz inne siostry z oddziału musiały tylko zajrzeć na jego salę na początku zmiany, aby sprawdzić, czy jeszcze nie umarł i czy nie potrzebuje czegoś, żeby utrzymać się przy życiu.

— Wszystko w porządku? — pytała go każda.

— Wszystko z wyjątkiem mojego zdrowia — wzdychał w odpowiedzi.

— Cieszy się pan doskonałym zdrowiem.

Zadawał sobie kłopot, żeby odpowiedzieć, że na tym właśnie polega kłopot. To oznaczało, że musi mu się pogorszyć.

— To wcale nie są żarty — żartował, kiedy się śmiały.

Udając estetę, błagał Melisę, żeby zmieniła bieliznę, włożyła więc któregoś dnia czarne majtki. Pragnąc, żeby do niego przyszła, często odczuwał straszną potrzebę jakiejś potrzeby. Czasami, kiedy naciskał dzwonek, odpowiadała inna pielęgniarka.

— Przyślijcie moją Melisę — rozkazywał.

Inne chętnie współpracowały. Nie skarżył się na brak opieki. Był dobrego zdrowia, powtarzali codziennie lekarze, i tym razem — stwierdzał z posępnym rozczarowaniem, nie mogąc się oprzeć przekonaniu, że go oszukują — chyba mieli rację.

Miał dobry apetyt i trawienie. Jego aparat słuchowy i rdzeniowy sprawdzono za pomocą tomografu komputerowego. Miał wolne zatoki i żadnego śladu zapalenia

stawów, zapalenia torebki maziowej, anginy czy zapalenia nerwu. Nie kapowało mu nawet z nosa. Jego ciśnienie krwi było przedmiotem zazdrości każdego lekarza, który go widział. Oddawał mocz, a oni go zabierali. Miał niski poziom cholesterolu, wysoki hemoglobiny, jego opad stanowił cud piękności, a poziom azotu we krwi był wprost idealny. Uznali go za wzór doskonałości. Bał się, że jego pierwsza żona, a także druga, z którą od roku pozostawał w separacji, mogą zmienić zdanie.

Odwiedził go czołowy kardiolog, który nie znalazł żadnej wady w jego sercu, patolog, który zbadał jego patos i również nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, przedsiębiorczy gastroenterolog, który przybiegł z powrotem na salę, żeby zasięgnąć opinii Yossariana w sprawie pewnej obiecującej inwestycji, jaka kroiliła się w nieruchomościach w Arizonie, a także psycholog, który zbadał jego psyche i któremu z braku kogoś lepszego Yossarian musiał się zwierzyć.

— A co pan powie na te okresowe okresy anomii, zmęczenia, braku zainteresowania i depresji? — osaczał go wirującym szeptem. — Obojętnie słucham rzeczy, które innym ludziom wydają się ważne. Męczą mnie informacje, których nie mogę wykorzystać. Wolałbym, żeby gazety codzienne były mniejsze i wychodziły raz w tygodniu. Nie interesuje mnie już nic, co dzieje się na świecie. Komicy nie rozbawiają mnie, a długie opowieści doprowadzają do wściekłości. Czy to ja, czy mój podeszły wiek? A może ta planeta naprawdę staje się mało ważna? Wiadomości telewizyjne się zdegenerowały. Wszyscy wszędzie są tacy obleśni. Wyczerpał się mój entuzjazm. Czy naprawdę czuję się taki zdrowy, czy tylko mi się wydaje? Mam nawet pełno włosów na głowie. Muszę znać prawdę, doktorze. Czy moja depresja ma charakter duchowy?

— To nie jest depresja i nie jest pan wyczerpany.

Psycholog zasięgnął rady ordynatora oddziału psychiatrii, który skonsultował się z wszystkimi pozostałymi medykami i wszyscy jak jeden mąż stwierdzili, że doskonale zdrowie, jakim się cieszy Yossarian, nie ma podłoża psychosomatycznego i że włosy na jego głowie są prawdziwe.

— Jednakże — dodał, chrząkając, ordynator psychiatrii — mam zaszczyt poinformować, że jest pan znakomitym kandydatem na depresję późnego wieku.

— Depresja późnego wieku? — Yossarian smakował przez chwilę te słowa. — Kiedy się zacznie?

— Już się zaczęła. Czy są jakieś rzeczy, których robienie sprawia panu prawdziwą przyjemność?

— Obawiam się, że nie ma ich zbyt wiele. Uganiam się za kobietami, ale niezbyt intensywnie. Zarabiam więcej forsy, niż potrzebuję.

— Sprawia to panu przyjemność?

— Nie. Nie mam żadnych ambicji i nie zostało dużo spraw, na których by mi naprawdę zależało.

— A golf, brydż czy tenis? Kolekcjonowanie dzieł sztuki albo antyków?

— Nic z tych rzeczy.

— W takim razie prognoza nie jest dobra.

— Zawsze o tym wiedziałem.

— Tak, jak to teraz widzimy, panie Yossarian — oświadczył, mówiąc w imieniu całej instytucji, dyrektor szpitala, zza którego ramienia wystawała w trzech czwartych łysa głowa Leona Shumachera — może pan żyć wiecznie.

Wyglądało na to, że nie ma się czym martwić, z wyjątkiem inflacji i deflacji, wyższych odsetek i niższych odsetek, deficytu budżetowego, groźby wojny i niebezpieczeństw pokoju, niekorzystnego bilansu handlowego i korzystnego bilansu handlowego, nowego prezydenta i starego kapelana, mocniejszego dolara i słabszego dolara, a także konfliktów, entropii, promieniowania i grawitacji.

Martwił się jednak również o swoją nową przyjaciółkę, siostrę Melissę MacIntosh, nie miała bowiem żadnych oszczędności. Jej rodzice nie mieli ich również i wiedział, że jeśli pożyje jeszcze dość długo, będzie musiała żyć z ubezpieczenia społecznego i groszowej szpitalnej emerytury, pod warunkiem oczywiście, że będzie pracowała przez następne dwadzieścia lub trzysta lat, co wydawało się raczej wykluczone — chyba że do tego czasu spotka i poślubi jakiegoś miłego, zamożnego dżentelmena, który będzie ją tak

samo pociągał, jak dzisiaj pociągał ją Yossarian, co również wydawało się całkowicie wykluczone. Niewielu mężczyzn potrafiło w tak uroczy sposób opowiadać jej świństwa. Wiele razy przyglądał jej się z bólem serca; była zbyt niewinna, by zostawić ją bez żadnego finansowego zabezpieczenia, zbyt słodka, zbyt ufna i zbyt bezinteresowna.

— Musisz bezwzględnie — oznajmił któregoś dnia, kiedy prosiła, żeby doradził jej, czy ona i jej współlokatorka powinny otworzyć indywidualne konta emerytalne (odparł, że nie widzi żadnego praktycznego sensu w prowadzeniu na dłuższą metę indywidualnego konta emerytalnego, z wyjątkiem nabijania kabzy bankom) — poślubić teraz kogoś takiego jak ja: mężczyznę, który zaoszczędził trochę forsy, zna się na polityce ubezpieczeniowej i spadkach i był przedtem tylko raz żonaty.

— Czy ty jesteś dla mnie zbyt stary? — zapytała przestraszona.

— To ty jesteś dla mnie zbyt młoda. Zrób to szybko, zrób to dzisiaj. Może być nawet jakiś doktor. Zanim się obejrzysz, będziesz tak samo stara jak ja i bez grosza przy duszy.

Martwiła go także własna lekkomyślna czułościowość, z jaką troszczył się o osobę, która potrzebowała troski.

To nie było w amerykańskim stylu.

Ostatnią rzeczą, której potrzebował, było wzięcie sobie kolejnej gęby na utrzymanie. Albo dwóch, ponieważ Melissa często mówiła z dumą o mieszkającej wraz z nią w zatłoczonym mieszkaniu, wpadającej w oko, zabawowej koleżance, niejakej Angeli Moore, naturalnej australijskiej blondynce. Angela była wyższa i swobodniejsza od niej, miała jaśniejsze włosy i większy biust, chodziła w wysokich szpilkach, malowała usta i oczy na białe i pracowała jako akwizytorka u producenta nowinek. Jej sprośne pomysły dotyczące nowych produktów zamykały usta i wywoływały rumieniec na twarzach dwóch starszych żydowskich ojców rodzin, którzy byli współnikami firmy. Angela lubiła wywierać oszałamiające wrażenie — i wiedziała, że je wywiera — w drogich śródmiejskich barach, dokąd chodziła często po pracy, żeby spotykać się z jowialnymi dyrektorami, z którymi wybierała się po kolacji na tańce i porzucała bez litości pod

drzwiami swego domu, gdy wieczór dobiegał końca. Rzadko kiedy spotykała mężczyzn, których polubiłaby do tego stopnia, żeby chcieć z nimi zostać dłużej, rzadko kiedy piła bowiem tyle, żeby się upić. Prywatny numer telefonu, który im podawała, należał do miejskiej kostnicy. Melissa opowiadała o tym z tak radosną pochwałą odważnego i pozbawionego zahamowań stylu bycia Angeli, że Yossarian nabrał przekonania, iż zakochałby się w niej od pierwszego wejrzenia pod warunkiem, że nigdy by na nią nie spojrzał i pozostałby w niej głęboko zakochany aż do chwili, gdy ujrzałby ją po raz drugi. Ale ta wysoka blondynka koło czterdziestki z białym makijażem i czarnymi pończochami w serpentynowe biegnące w górę wzory również nie miała bogatych rodziców i większych oszczędności i Yossarian pytał sam siebie: co się dzieje z tą parszywą planetą?

Wydawało mu się rozsądne, że każda osoba, w stosunku do której nie żywił urazy, powinna mieć dosyć pieniędzy, aby bez lęku spoglądać w przyszłość, i pełen szlachetnego współczucia pochylał w zadumie głowę, pragnąc wziąć tę atrakcyjną, piersiastą i zbłąkaną sublokatorkę w ramiona, osuszyć jej łzy, ukoić wszelkie niepokoje, rozpiąć sukienkę i pogłodzić po pupie.

To było naprawdę coś, o czym mogliby napisać swoim mocodawcom depczący mu po piętach tajniacy. Pierwszy prywatny detektyw — Yossarian nie miał żadnych wątpliwości, że jest prywatny — wyszedł go w szpitalu podczas godzin odwiedzin i natychmiast zaniemógł w wyniku ciężkiego zakażenia gronkowcem, które z objawami zatrucia krwi przykuło go do łóżka w innym skrzydle szpitala razem z trzema facetami, którzy odwiedzając innych pacjentów, także złapali gronkowca i zdaniem Yossariana również mogli być prywatnymi detektywami. Yossarian mógł uprzedzić wszystkich czterech, że szpital jest niebezpiecznym miejscem. Ludzie oddawali tutaj ducha. Pewnego dnia przyjęty został pewien facet z Belgii i poderżnięto mu gardło. Następny prywatny detektyw, którego wysłano, żeby zastąpił pierwszego, rozchorował się w ciągu jednego dnia po zjedzeniu w szpitalnej kafeterii zatrutej salmonellą kanapki z jajkiem i teraz również

leżał złożony niemocą, dochodząc powoli do zdrowia. Yossarian zastanawiał się, czy nie wysłać mu kwiatów. Zamiast tego wysłał im obu kartki z życzeniami powrotu do zdrowia, które podpisał nazwiskiem Albert T. Tappman. Albert T. Tappman był kapelanem w jego starej eskadrze bombowców i jego profesję również umieścił na kartkach, zastanawiając się, co pomyślą sobie ich odbiorcy, kiedy je dostaną, a także dokąd zabrano kapelana i czy przypadkiem nie został upokorzony, znieważony, zagłodzony lub poddany torturom. Dzień później wysłał obu detektywom kolejne kartki, które podpisał jako Washington Irving, nazajutrz zaś dwie następne, podpisane Irving Washington.

Drugi tajniak zastąpiony został dwoma kolejnymi, którzy nie znali się wzajemnie i z których jeden okazał się, nie wiadomo dlaczego, zainteresowany w równym stopniu inwigilacją Yossariana, jak i swoich poprzedników.

Yossarian zastanawiał się, co takiego chcą się o nim dowiedzieć, czego nie może im wyznać wprost. Jeśli interesowało ich cudzołóstwo, zdecydowany był zaoferować im cudzołóstwo. Dobre serce i niepewna materialna przyszłość Melissy MacIntosh do tego stopnia spędzały mu sen z powiek, że zaczął się martwić również o własną przyszłość i postanowił ponownie wezwać onkologa, aby uzyskać od niego niezłomną gwarancję w kwestii choroby, która pochłonęła ostatnio największe żniwo ofiar, i usłyszeć być może dalszy ciąg rozważań o supremacji biologii w działalności człowieka oraz tyranii genów w regulowaniu problemów historycznych i społecznych.

— Jesteś szalony — stwierdził Leon.

— W takim razie załatw mi również psychiatrę.

— Nie masz raka. Dlaczego chcesz się zobaczyć z onkologiem?

— Żeby spełnić dobry uczynek, baranie. Nie wierzysz w dobre uczynki? Biedny mały kutas jest najbardziej ponurym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek widziałem na oczy. Ilu pacjentom tygodniowo może twoim zdaniem przekazać dobrą wiadomość? Niepowodzenia tego faceta należą do nielicznych, którym jestem być może w stanie zapobiec.